

Jedenasta część cyklu SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



LABIRYNT KOŚCI

Jesień, 38 000 lat p.n.e.
Południowe Alpy

– Biegnij, dzieciaku!

Las za ich plecami rozświetlały ognie. Przez cały miniony dzień płomienie gnały K’ruka i jego córkę w coraz wyższe partie zaśnieżonych gór. Ale to nie dławiący dym czy palący żar budziły największy strach K’ruka. Patrzył uważnie za siebie, starając się dostrzec myśliwych, którzy podpalili las podczas pościgu, lecz nigdzie nie zauważył śladu wroga.

Słyszał jednak w dali wycie wilków, wielkich bestii poddających się woli myśliwych. Wydawało się, że wataha jest teraz bliżej, zaledwie w sąsiedniej dolinie.

Spojrzał z troską ku słońcu usadowionemu tuż przy horyzoncie. Czerwonawa poświata na niebie przypomniła mu o obietnicy ciepła, które tam czekało, o jaskiniach biegnących pod zielonymi wzgórzami i czarną skałą, gdzie wciąż płynęła woda, o gęstwinie na niższych zboczach, rojących się od jeleni i bizonów.

Wyobraził sobie płonące jasno domowe ognie, mięso na ruszcie ociekające tłuszczem, który spada w sykliwe płomienie, klan zbierający się w jednym miejscu przed nocnym spoczynkiem. Tęsknił do tego dawnego życia, choć wiedział, że owa ścieżka jest już dla niego zamknięta – a zwłaszcza dla córki.

Usłyszawszy przenikliwy krzyk bólu, spojrzał przed siebie. Onka

poślizgnęła się na omszałym kamieniu i upadła ciężko na ziemię. Zwykle trzymała się pewnie na nogach, ale uciekali od trzech długich dni.

Pospieszył do niej i dźwignął ją, młode oblicze lśniło od strachu i potu. Przez chwilę dotykał jej policzka. W delikatnych rysach twarzy córki dostrzegał cień jej matki, uzdrowicielki klanu, która umarła krótko po urodzeniu Onki. Zanurzył palec w ognistych włosach dziewczynki.

Takie jak u twojej matki...

Zauważył jednak w jej twarzy coś więcej – wszystko, co czyniło ją odmienną. Nawet jako dziewczynka licząca sobie zaledwie dziewięć wiosen nos miała cieńszy niż ktokolwiek z klanu K'ruka. Jej czoło było gładziej, nie tak grubo ciosane. Patrzył w niebieskie oczy, jasne jak letnie niebo. Ten ich błysk i rysy wskazywały, że jest istotą mieszaną, kimś, kto kroczy w połowie drogi między ludem K'ruka a tymi, którzy przybyli niedawno z południa, osobnikami o cieńszych kończynach i szybszej mowie.

Powiadano, że tak wyjątkowe dzieci są omenami i że fakt ich narodzin dowodzi, iż dwa plemiona – nowe i dawne – są w stanie żyć w pokoju. Pewnie nie w tych samych jaskiniach, ale mogą dzielić tereny łowieckie. I gdy te dwa plemiona zaczęły się do siebie zbliżać, rodziło się więcej dzieci podobnych Once. Otaczano je czcią. Patrzyły na świat innymi oczami, zostawały wielkimi szamanami, uzdrowicielami albo myśliwymi.

A potem, przed dwoma dniami, przybył mieszkaniec sąsiedniej doliny. Był śmiertelnie ranny, ale wciąż miał dość siły, by ostrzec przed potężnym wrogiem, przed rozlewającą się po górach kłatwą. W sąsiedniej dolinie zjawił się w znacznej sile tajemniczy klan, który polował na tak wyjątkowe istoty jak Onka. Żadnemu plemieniu nie wolno było dać schronienia takim dzieciom. Te, które to czyniły, wyrzynano.

Usłyszawszy to, K'ruk pojął, że nie może narażać swego klanu ani pozwolić, by Onkę zabrano. Uciekł więc z córką, ktoś jednak musiał powiedzieć o tym wrogowi.

Powiedzieć o Once.

Nie pozwolę, by cię wzięli.

Wziął ją za rękę i ruszył szybszym krokiem, ale już wkrótce dziewczynka częściej się potykała, niż szła przed siebie, kulejąc z powodu zranionej kostki. Kiedy wspięli się na grań, wziął ją na ręce i spojrzął na rozciągający się w dole las. U jego krawędzi płynął strumień. Obietnica wody.

– Możemy tam odpocząć – powiedział, wskazując to miejsce. – Ale tylko na krótką...

Z lewej strony dobiegł trzask gałęzi. Przykucnąwszy czujnie, K'ruk posadził córkę na ziemi i uniósł dzidę z kamiennym grotem. Zza osłony zwalonych drzew wyłoniła się szczupła postać odziana w skóry reniferów. Ich spojrzenia się spotkały. Choć nie padło słowo, K'ruk wiedział, że ten ktoś jest – jak Onka – narodzony z odmiennych duchów. Po jego ubiorze i skórzanym sznurze, którym przewiązywał kudłate włosy, można się było jednak zorientować, że nie pochodzi z klanu K'ruka, lecz z jednego z plemion o szczupłych kończynach, które zjawiły się w górach później.

Za ich plecami rozległo się wycie; wydawało się jeszcze bliższe.

Obcy przekrzywił głowę i zaczął nasłuchiwać; potem uniósł dłoń i skinął. Padły słowa, ale K'ruk ich nie zrozumiał. W końcu tamten po prostu zamachał ręką, wskazując strumień, po czym ruszył w dół zalesionego zbocza.

K'ruk zastanawiał się, czy podążyć za nim, lecz po chwili znów usłyszał wycie wrogich wilków, pospieszył więc za swym przewodnikiem. Z Onką w ramionach niemal biegł, by dotrzymać kroku zwinnemu człowiekowi. Gdy dotarli do strumienia, okazało się, że czekają tam już na nich inni, dziesięcio-, dwunastoosobowa grupa; niektórzy byli młodszy od Onki, inni garbili się ze starości. Nosili znaki różnych klanów.

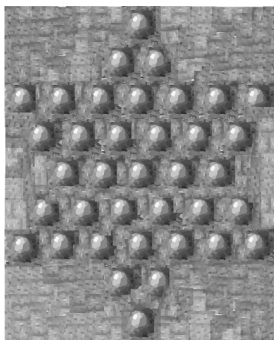
Coś ich jednak łączyło.

Wszyscy byli owocem odmiennych duchów.

Obcy podszedł bliżej i osunął się na kolano przed Onką; dotknął palcem jej czoła i przesunął nim po jej policzku, bez wątpienia

rozpoznając w dziewczynce jedną ze swoich.

Córka K'ruka też wyciągnęła rękę i dotknęła znaku na czole obcego: blizn ułożonych we wzór o dziwnym spiczastym kształcie.



Onka wodziła palcem po gruzelkach, jakby znajdowała w nich ukryte znaczenie. Mężczyzna się uśmiechnął – najwyraźniej wiedział, że dziewczynka rozumie.

Wyprostował się i położył sobie dłoń na piersi.

– Teron – przemówił.

K'ruk wiedział, że to jego imię, ale obcy powiedział coś potem szybko, machając na jednego ze starszych, który wspierał się ciężko na grubym sękatym kiju.

Starzec podszedł i odezwał się w mowie ludu K'ruka.

– Teron mówi, że dziewczynka może się do nas przyłączyć. Wyruszymy przez wysoką przełęcz, którą Teron zna i która jest wolna od lodu, ale jeszcze tylko przez kilka dni. Jeśli zdążymy przed wrogiem, myśliwi zgubią nasz ślad.

– Dopóki śniegi się nie roztopią. – K'ruk nie krył troski.

– Upłynie jeszcze wiele księżyców, my zaś do tej pory umkniemy, a ślady po nas znikną.

Dobiegające z dali wycie wilków przypomniało im, że w tej chwili ich ślady są widoczne.

Starszy człowiek zdawał sobie z tego sprawę.

– Musimy wyruszać, zanim nas dopadną.

– I zabierzecie moją córkę? – spytał K’ruk, popychając Onkę ku Teronowi.

Ten chwycił K’ruka za ramię i ścisnął je mocnymi palcami, składając w milczeniu obietnicę.

– Przyjmijemy ją – zapewnił stary człowiek. – I będziemy jej strzec. Lecz w czasie tej długiej wędrówki przydadzą się nam twoje silne plecy i ostra włócznia.

K’ruk cofnął się o krok i mocniej ujął drzewce swej broni.

– Wrogowie nadchodzą zbyt szybko. Do utraty tchu będę odwodził ich od waszych śladów albo powstrzymywał dostatecznie długo, byście mogli dotrzeć do przełęczu.

Napotkał spojrzenie córki, w której zażawionych oczach malowało się zrozumienie.

– Ojciec...

Poczuł ból w piersi.

– To jest teraz twój klan, Onko. Ci ludzie zabiorą cię do lepszej krainy, gdzie będziesz bezpieczna i wyrośniesz na silną kobietę. Jestem tego pewien.

Dziewczynka wyrwała się z objęć Terona, podbiegła do ojca i zarzuciła mu ręce na szyję.

Z żalem, który dławił go tak jak córkę, uwolnił się od niej i przekazał ją Teronowi, ten zaś otoczył dziewczynkę ramieniem. K’ruk nachylił się i dotknął czołem czoła Onki; żegnając się z nią, wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Potem wyprostował się, odwrócił i oddalił od strumienia, by ruszyć w górę zbocza, skąd dochodziło wycie wilków – ale on słyszał jedynie za plecami żałosny płacz córki.

Żyj dobrze, moje dziecko.

Zaczął się wspinać szybciej, zdecydowany chronić ją za wszelką cenę. Gdy dotarł do grani, pospieszył w stronę, z której dochodziło zawrodożenie bestii posłusznych myśliwym. Nawoływania napływające z sąsiedniej doliny nabrały mocy.

Ruszył biegiem, sadił wielkie susy.

Gdy słońce się zniżyło, pogrążając dolinę w cieniach, dotarł do

następnej grani. Zwolnił kroku i zaczął schodzić po zboczu uważnie, czujnie, zwłaszcza że wilki w tej chwili ucihły. Podążał nisko pochylony, od cienia do cienia, po nawietrznej, przy każdym kroku zważając, by nie nadeprnąć na gałąź.

W końcu, gdy mógł dojrzeć dno doliny, dostrzegł jakiś ruch. Wilki. Jedna z bestii ukazała w całej pełni swój kształt, który w niczym nie przypominał wilka. Sierść miała gęsto skołtunioną. Masywny tułów pokrywały blizny. Wargi cofnęły się, obnażając długie żółte kły.

Choć serce waliło mu w piersi, K'ruk wciąż kuczał, czekając, aż pojawią się władcy tych monstrualnych potworów.

Wreszcie zza drzew wyłoniły się wyższe kształty. Największy z nich stanął w całej okazałości i po raz pierwszy odsłonił swe oblicze.

K'ruk zamarł na ten widok i poczuł, jak ogarnia go lodowate przerażenie.

Nie, to niemożliwe...

Mimo wszystko ścisnął włócznię mocniej i zerknął przez ramię. Uciekaj, Onko. Uciekaj i nigdy się nie zatrzymuj.

Rzym, Państwo Kościelne Wiosna 1669

Nicolaus Steno prowadził młodego emisariusza przez czeluści muzeum Collegium Romanum. Obcy miał na sobie gruby płaszcz, a jego buty były zabłocone – świadectwo pośpiechu i działania w ukryciu.

Niemiecki posłaniec przybywał od Leopolda I, Świętego Cesarza Rzymskiego na północy. Przesyłka, którą wioził, przeznaczona była dla drogiego przyjaciela Nicolausa, ojca Atanazego Kirchera, twórcy tego muzeum.

Emisariusz patrzył z otwartymi ustami na liczne osobliwości, które tu zgromadzono: egipskie obeliski, mechaniczne cuda, które tykały i pomrukiwały, strzeliste kopyły w górze, ozdobione znakami astronomicznymi. Spojrzenie młodego człowieka przyciągnęła bryła bursztynu z zachowaną we wnętrzu jaszczurką.

– Nie ociągaj się – pouczył Nicolaus wysłannika i pociągnął go za sobą.

Znał każdy zakątek tego miejsca, wszystkie oprawione woluminy, w większości dzieła pana owego muzeum. Spędził tu niemal cały rok, przysłany przez swego dobroczyńcę, wielkiego księcia Toskanii, w celu przestudiowania znajdujących się w tym miejscu skarbów, tak aby móc stworzyć własny gabinet osobliwości w książęcym pałacu we Florencji.

Wreszcie dotarł do wysokich dębowych drzwi i załomotał w nie pięścią.

– Wejść – odpowiedział głos z drugiej strony.

Nicolaus pociągnął masywne drzwi i wprowadził emisariusza do niewielkiego gabinetu, oświetlonego przez główne z zamierającym ogniem.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, wielbny ojcze.

Niemiecki wysłannik osunął się bezzwłocznie na jedno kolano przed szerokim biurkiem i skłonił głowę.

Człowiek pochylony nad stosem ksiąg wydał przeciągłe westchnienie. Trzymał gęsie pióro, którego czubek zastygł nad wielkim pergaminem.

– Zjawiłeś się, by znów przejrzeć mój zbiór? Powiniennem cię uprzedzić, że numeruję zgromadzone tu księgi.

Na twarzy Nicolausa pojawił się uśmiech.

– Obiecuję zwrócić ci mój egzemplarz *Mundus Subterraneus*, gdy tylko obalę w pełni wiele z twych twierdzeń, które są tam zawarte.

– Czyżby? Rozumiem, że wprowadzasz ostatnie poprawki do własnego dzieła dotyczącego podziemnych tajemnic skał i kryształów.

Nicolaus skłonił w odpowiedzi głowę.

– W rzeczy samej. Lecz zanim ci je przedstawię, z pokorą przyjmę wnikliwą analizę kogoś takiego jak ty.

Gdy przybył tu przed rokiem, obaj spędzili wiele długich nocy na głębokich dyskursach odnoszących się do licznych aspektów nauki, teologii i filozofii. Choć Kircher był starszy o trzydzieści siedem lat i zasługiwał na szacunek, cenił każdego, kto był gotów rzucić mu wyzwanie. Na dobrą sprawę już przy pierwszym spotkaniu obaj spierali się zajadle o pracę, którą Nicolaus ogłosił drukiem dwa lata wcześniej, a w której dowodził, że *glossopetrae* czy też „kamienne języki” osadzone w skałach to w rzeczywistości zęby pradawnych rekinów. Ojciec Kircher przejawiał podobne zainteresowanie kośćmi i relikami przeszłości zachowanymi w warstwach skalnych. Prowadzili gorące debaty nad genezą owych

tajemnic. I w takim to tygłu poszukiwań naukowych zaczęli żywić wobec siebie podziw, szacunek i ponad wszystko przyjaźń.

Spojrzenie ojca Kirchera spoczęło na emisariuszu, wciąż wspierającym się na kolanie przed zasłanym księgami biurkiem.

– A kim jest twój towarzysz?

– Przybywa z przesyłką od Leopolda Pierwszego. Wydaje się, że cesarz zapamiętał dostatecznie dużo ze swej jezuickiej edukacji, by dostarczyć ci coś ważnego. Zwrócił się do wielkiego księcia, by ten nakazał mi przedstawić ci tego człowieka niezwłocznie i z zachowaniem wszelkiej tajemnicy.

Ojciec Kircher odłożył gęsie pióro.

– Intrygujące.

Obaj wiedzieli, że obecny cesarz przejawia zainteresowanie nauką i światem natury, wpojone mu przez uczonych jezuickich, którzy czuwali nad edukacją władcy, gdy ten był młody. Dopóki śmierć starszego brata z powodu ospy nie zmusiła Leopolda do zajęcia tronu na zimnej północy, był on przeznaczony do stanu duchownego.

Ojciec Kircher pomachał do posłańca.

– Dość tej śmiesznej pozy, mój dobry człowieku. Wstań i przekaz mi to, z czym wyprawiono cię w tak długą drogę.

Emisariusz podniósł się i ściągnął z głowy kaptur, odsłaniając twarz młodzieńca, który nie mógł liczyć sobie więcej niż dwadzieścia wiosen. Wyjął z sakwy podróżnej grubą kopertę zalakowaną cesarską pieczęcią. Zbliżył się do biurka, położył ją na nim, po czym szybko się cofnął.

Kircher zerknął na Nicolausa, a ten wzruszył jedynie ramionami, dając tym do zrozumienia, że też nie zna szczegółów sprawy.

Duchowny wziął do ręki nóż i przeciął pieczęć; gdy otworzył kopertę, wysunął się z niej niewielki przedmiot i spadł na biurko. Była to kość w otoczce krystalicznej skały. Marszcząc czoło, Kircher wyjął z koperty dołączony do przesyłki pergamin i rozłożył go. Nawet z odległości kilku kroków Nicolaus mógł się zorientować, że jest to szczegółowa mapa wschodniej Europy. Ojciec Kircher

studiował ją przez krótką chwilę.

– Nie pojmuję znaczenia tego wszystkiego – wyznał. – Tej mapy i tego kawałka starej kości. Nie ma tu listu objaśniającego.

Emisariusz odezwał się wreszcie w języku włoskim, naznaczonym silnym akcentem:

– Cesarz wybrał mnie, bym przekazał drugą połowę wiadomości, słowa, które przysiągłem powierzyć swej pamięci i ujawnić jedynie tobie, wielbny ojcze.

– I co to za słowa?

– Cesarz zna ciekawość, którą żywisz wobec pradawnej przeszłości, wobec sekretów zagrzebanych w trzewiach Ziemi, i prosi cię o pomoc w zbadaniu tego, co zostało odkryte w miejscu zaznaczonym na mapie.

– Cóż można tam znaleźć? – spytał Nicolaus. – Więcej kości takich jak ta? – Podszedł do biurka i przyjrzał się skamielinie w otoczce białawej skały. Wyczuwał niezmierną pradawność tego, na co patrzył.

– I do kogo należą te kości? – spytał Kircher. – W czym spoczywają grobie?

Młody człowiek odpowiedział, a jego słowa były szokujące. A potem, nim któryś z mężczyzn zdążył się odezwać, emisariusz dobył szybkim ruchem sztylet i poderżnął sobie gardło od ucha do ucha. Trysnęła krew, gdy się zakrztusił i osunął, najpierw na kolana, a potem na podłogę.

Nicolaus rzucił się na ratunek młodemu człowiekowi, przeklinając tak brutalną konieczność. Wydawało się, że te ostatnie słowa przeznaczone były jedynie dla ojca Kirchera i dla niego, a raz wypowiedziane, nigdy nie miały być powtórzone.

Ojciec Kircher wyszedł zza biurka i przyklęknął, ujmując rękę młodzieńca w dłoń.

– Czy mogłaby to być prawda? – zwrócił się do Nicolausa.

Ten przełknął z trudem ślinę, zatrwożony tą ostatnią wieścią, wypowiedzianą przez skrwawione teraz usta.

Te kości... to szczątki Adama i Ewy.

1

Żupania Karlowacka, Chorwacja
29 kwietnia, godzina 10.32 czasu miejscowego

Nie powinno nas tu być.

Cień przesądnego strachu sprawił, że Roland Novak zatrzymał się na serpentyńce szlaku. Osłonił oczy przed blaskiem porannego słońca i wlepił wzrok w skalisty wierzchołek. W dali gromadziły się czarne chmury.

Według chorwackich podań ludowych – opowieści, których nasłuchiwał się w dzieciństwie – podczas burzowych nocy na szczycie góry Klek zbierały się czarownice i wróżki, a ich krzyki słychać było aż w sąsiednim mieście Ogulin. Krążyły historie o nieostrożnych i pechowych nieszczęśnikach, których spotykał koszmarny los.

Dzięki takim legendom szczyt góry pozostawał przez wieki nietknięty ludzką stopą. Jednakże zmieniło się to w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci, gdy strzeliste urwiska grani zaczęły w coraz większym stopniu przyciągać miejscowych wspinaczy. Nie to jednak stanowiło powód, dla którego Roland i pozostali zdecydowali się tego ranka na ryzyko pokonania północnej ściany.

– To już niedaleko – zapewnił Alex Wrightson. – Będzie najlepiej, jak wyjdziemy stamtąd przed burzą.

Brytyjski geolog, który prowadził ich czwórkę, sprawiał wrażenie równie twardego jak te szczyty, ale musiał być pod siedemdziesiątkę. Pomimo chłodu nosił krótkie spodnie khaki, odsłaniając mocne,

żylaste nogi. Białe jak śnieg włosy, gęstsze niż rzednąca blond czupryna Rolanda, chowały się pod kaskiem alpinistycznym.

– Mówi tak już po raz trzeci – mruknęła Lena Crandall do Rolanda. Jej pokryte cienką warstwą potu policzki błyszczały po godzinie wspinaczki, mimo to nie wyglądała na zmęczoną. Miała jednak tylko dwadzieścia kilka lat, a jej znoszone buty wskazywały, że często chodzi po górach. Popatrzyła w niebo, obserwując strzelistą ścianę ciemnych chmur. – Na szczęście zdążyłam przyjechać tu dzień wcześniej. Kiedy zacznie się burza, te góry utoną w wodzie, nie wiadomo na jak długo.

Jakby świadoma groźby, grupa zwiększyła tempo marszu na nieoznakowanym szlaku. Lena rozpięła kurtkę termoizolacyjną i podciągnęła na ramionach taśmy plecaka z emblematem Uniwersytetu Emory’ego, jej Alma Mater w Atlancie. Było to właściwie wszystko, co Roland wiedział o tej Amerykance, prócz tego, że jest biologiem molekularnym specjalizującym się w genetyce i że ściągnięto ją z Instytutu Maxa Plancka w Lipsku, gdzie była na stypendium. I podobnie jak Roland, nie znała powodu, dla którego została tak nagle wezwana przez brytyjskiego geologa i jego partnera, francuskiego paleontologa.

Podczas wspinaczki doktor Dayne Arnaud rozmawiał przyciszonym głosem z Wrightsonem i choć Roland nie potrafił zrozumieć słów Francuza, zniekształconych dodatkowo przez silny akcent, widać było, że naukowiec jest najwyraźniej poirytowany. Jak dotąd żaden z mężczyzn nie zdradził jakichkolwiek szczegółów dotyczących celu wyprawy ani tego, co odkryto tam na miejscu.

Roland zmusił się do cierpliwości. Dorastał w Zagrzebiu, ale znał wszystkie opowieści o tym szczycie w Górach Dynarskich. Jego wierzchołek w sposób niepokojący przypominał leżącego olbrzyma. Powiadano, że to gigant Klek, który walczył z bogiem Volosem i został za swą zniwagę przemieniony w kamień. Nim się to jednak stało, poprzysiągł, że pewnego dnia ocknie się ze snu i dokona na ludziach zemsty.

Roland poczuł dreszcz przesądneho niepokoju.

Gigant lubił ostatnio pomrukiwać.

Region ten podatny był na trzęsienia ziemi, co zapewne zrodziło legendę o drzemiącym olbrzymie. Zeszłego miesiąca okolice nawiedził kataklizm o sile 5,2 stopnia w skali Rychtera, powodując pęknięcie dzwonnicy średniowiecznego kościoła w pobliskim mieście Ogulin.

Roland podejrzewał, że wydarzenie to ma związek z tym, co odkryli ci dwaj, geolog i paleontolog. Kiedy grupa obeszła skalisty występ i zagłębiła się w gęsty sosnowy zagajnik, jego przypuszczenia się potwierdziły. Nieco dalej od urwiska oderwał się wcześniej wielki kawał skały i runął w las, powalając drzewa i tocząc się niszczycielsko przez okolicę, jakby kroczył tu sam potężny Klek.

– Miejscowy obserwator ptaków natknął się na to pobojuwisko po trzęsieniu ziemi w zeszłym miesiącu – wyjaśnił Wrightson, kiedy podążali ścieżką biegnącą przez labirynt głazów i roztrzaskanych pni. – Pojawił się tu wczesnym rankiem i zdążył zobaczyć parę unoszącą się spomiędzy kilku głazów, co dowodzi, że pod ziemią znajduje się system jaskiń.

– I sądzi pan, że to ostatnie trzęsienie ziemi umożliwiło dostęp do tego systemu? – spytała Lena.

– Owszem. – Brytyjczyk machnął ręką. – Nic w tym zaskakującego. Cały łańcuch jest tu zbudowany głównie ze skał krasowięjących. Opady i liczne źródła zamieniły ten teren w pełen cudowności geologiczny plac zabaw. Podziemne rzeki, otwory odpływowe, jaskinie. Czego tylko dusza zapragnie.

Roland spojrzał na Arnauda.

– Ale znaleźliście tu coś jeszcze prócz jakiejś starej jaskini?

Wrightson zerknął przez ramię, oczy błyszczały mu radosnym podnieceniem.

– Nie zepsujemy niespodzianki, prawda, doktorze Arnaud?

Paleontolog mruknął coś skwaszony, co pasowało do grymasu, który wykrzywił mu bezustannie rysy. Podczas gdy Brytyjczyk był towarzyski i otwarty, Francuz stanowił jego mroczny cień, zawsze posępny i niezycliwy. Arnaud był tylko o kilka lat starszy od

Rolanda, który miał trzydzieści dwa lata, ale sposób bycia przydawał mu jakby wieku. Roland podejrzewał, że irytacja Francuza wiąże się ich obecnością, jego i Amerykanki. Wiedział, że niektórzy naukowcy bywają zazdrośni o swoje poletko.

– Ach, jesteśmy na miejscu – oznajmił Wrightson, podchodząc do wierzchołka drabiny, która wystawała z niepozornej dziury w ziemi.

Skupiony na celu wyprawy Roland nie zauważył postaci czekającej w cieniu pobliskiego głazu, dopóki potężnie zbudowany mężczyzna nie pojawił się w blasku słońca. Miał na ramieniu karabin. Choć był ubrany po cywilnemu, jego sztywna postawa, ostro zaprasowane kanty spodni i stalowy błysk w oku wskazywały na wyszkolenie wojskowe. Nawet czarne włosy były ostrzyżone na jeża; przypominały nastroszoną myckę.

Zagadał coś do Arnauda po francusku.

Roland nie mówił w tym języku, ale sądząc po postawie strażnika, nie był on podwładnym paleontologa, raczej kimś, kto jest mu równy. Mężczyzna wskazał ciemniejące niebo, jakby rozważał, czy wolno im zejść na dół. W końcu zaklął, podszedł do stojącego obok generatora i szarpnął linkę; rozległ się warkot silnika.

– To musi być komendant Henri Gerard – wyjaśnił Wrightson.
– Z Chasseurs Alpains, elitarnego francuskiego oddziału strzelców alpejskich. Pilnuje wraz ze swoimi ludźmi tego miejsca.

Roland rozejrzał się, próbując dostrzec innych żołnierzy, ale bez powodzenia.

– Smutna, ale nieodzowna konieczność, jak się obawiam – ciągnął brytyjski geolog. – Kiedy ten obserwator ptaków odkrył możliwe wejście do jaskiń, skontaktował się z klubem speleologów. Na szczęście dla nas jego członkowie przestrzegają ścisłych zasad postępowania w takich przypadkach. Kiedy sobie uświadomili, co znajduje się na dole, zabezpieczyli znalezisko i skontaktowali się z francuskimi kolegami, którzy zajmowali się zabezpieczaniem tak słynnych jaskiń, jak Chauveta i Lascaux.

Roland, który znał historię sztuki, pojmował, dlaczego wzmianka

o tych dwóch jaskiniach jest tak istotna. Były znane ze swych paleolitycznych malowideł stworzonych przez najdawniejszych przodków współczesnego człowieka. Spojrzał w stronę otworu w ziemi, domyślając się, co tam jest.

Tak jak Lena.

– Znaleźliście tam dzieła sztuki jaskiniowej?

Wrightson uniósł brew.

– Och, znaleźliśmy znacznie więcej. – Spojrzał na Rolanda. – Dlatego skontaktowaliśmy się z Watykanem, ojciec Novak... i dlatego został ksiądz ściągnięty z Chorwackiego Uniwersytetu Katolickiego w Zagrzebiu.

Roland zajrzał w głąb ziemnego tunelu. Gdy w dali rozległ się grzmot, dotknął odruchowo koloratki.

Arnaud odezwał się z tym swoim silnym akcentem, nie kryjąc pogardy:

– Ma być ksiądz świadkiem cudu, który odkryliśmy, i poddać go weryfikacji.

Godzina 11.15

Lena zesłała po drabinie za Wrightsonem i Arnaudem. Podczas drogi w dół towarzyszył im kabel biegnący od generatora do reflektorów rzucających pod ziemią słabe światło. Tak jak pozostali, miała na głowie kask zaopatrzony w czołówkę. W uszach rozbrzmiewał jej łomot serca, skutek ekscytacji, ale też klaustrofobii.

Spędzała większość czasu zamknięta w laboratoriach genetycznych, wpatrzona w mikroskop albo monitor komputera. W każdej wolnej chwili uciekała tam, gdzie mogła obcować z przyrodą. Ostatnimi czasy były to tereny parkowe ciągnące się wzdłuż rzeki przecinającej Lipsk. Tęskniła za zalesionymi terenami, które otaczały jej poprzedni ośrodek naukowy niedaleko Atlanty. Tęskniła też za siostrą bliźniaczką – która również była biologiem molekularnym zajmującym się genetyką – wciąż pracującą nad ich

wspólnym projektem w Stanach, podczas gdy Lena zajmowała się podrzędną robotą w Europie, co oznaczało od szesnastu do osiemnastu godzin dziennie spędzonych na odtwarzaniu pradawnego kodu na podstawie resztek kości albo zęba.

Jeśli ta jaskinia rzeczywiście była stanowiskiem paleolitycznym bogatym w skamieniałe szczątki i artefakty, to domyślała się roli, jaka jej tu przypadła: zebrać próbki do analizy laboratoryjnej. Instytut Maxa Plancka cieszył się zasłużoną opinią ośrodka, gdzie specjaliści potrafili uzyskać DNA ze starych kości i zrekonstruować jego pradawne sekwencje.

Lena, schodząc po drabinie, spoglądała między stopy i zastanawiała się, co znajdzie na dole. Żałowała, że nie ma tu jej siostry; chciałyby się dzielić z nią tą chwilą.

Usłyszała nad głową ciche westchnienie, gdy ojciec Novak poślizgnął się nieznacznie na drabinie, ale szybko odzyskał równowagę. Zmarszczyła czoło, znów zadając sobie pytanie, co robi tu ksiądz. W trakcie podróży z Zagrzebia wdała się z nim w rozmowę i dowiedziała, że wykłada na uniwersytecie historię średniowieczną; wydawało się to dziwne jak na kogoś, kto ma spenetrować prehistoryczną jaskinię.

Dotarła w końcu na dół, gdzie Wrightson pomógł jej stanąć na ziemi i dał znak, żeby ruszyła za Arnaudem, który przygarbiony zagłębiał się w tunel. Schyliła głowę pod niskim sklepieniem, ale i tak uderzała o nie kaskiem, wprawiając w ruch strumień światła czołówki. Powietrze było tutaj cieplejsze niż na górze, ale jednocześnie gęstsze od wilgoci – wapienne ściany lepiły się przy dotyku, podłóże pokrywał śliski osad.

Po krótkiej wędrówce idący przodem Arnaud wyprostował się wreszcie. Stanęła obok niego, zmagając się ze skurczem pleców – po czym zastygła zdumiona widokiem, który ukazał się jej oczom.

Otwierała się przed nimi jaskinia najeżona stalaktytami i stalagmitami. Ściany pokryte były polewami naciekowymi, sklepienie zaś przybrane wyszukаныmi żyrandolami spiralnych i białych jak śnieg kryształów – od skręconych cieniutkich słomek